

# **Kot Bob i jego podarunek**

Tytuł oryginału angielskiego

*A Gift from Bob: How a Street Cat Helped One Man Learn  
the Meaning of Christmas*

Copyright: © James and Bob Limited and Connected Content Limited, 2014

The right of James Bowen and Garry Jenkins to be identified as the Authors of the Work has been asserted by them in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988.

© Copyright for the Polish edition  
by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015

© Copyright for the Polish translation by Andrzej Wajs, Warszawa 2015

Cover photographs © Clint Images

JAMES BOWEN

# Kot Bob i jego podarunek

Przełożył  
Andrzej Wajs

Nasza Księgarnia

[...]

Bob robił się coraz bardziej podenerwowany. Na ogół radził sobie dobrze z londyńskim zgiełkiem, lecz dźwięk brzęczących pojemników wyraźnie działał mu na nerwy. Kot skulił się i zmrużył oczy: oczywisty znak, że nie był w siódmym niebie. W pewnym momencie syknął groźnie na jednego ze złodobroczynców, który podszedł zbyt blisko jego legowiska.

Moja frustracja też rosła. W półtorej godziny zdołałem sprzedać zaledwie dwa egzemplarze. W takim tempie nie byłem w stanie uzbierać nawet na autobus, nie mówiąc o gazie i elektryczności.

Zbyt często bywałem w podobnych sytuacjach, by nie wiedzieć, że coś za chwilę trzaśnie. I oczywiście trzasnęło.

Sprzedawałem właśnie egzemplarz „The Big Issue” swojemu stałemu klientowi, kiedy jeden ze złodobroczynców zaczął zbliżać się do mojej strefy. Był to zwalisty facet, mierzył ponad metr osiemdziesiąt i ważył ze sto kilogramów. Miał na sobie żółtą odblaskową kamizelkę. Pojawił się u wyjścia ze stacji i szedł tyłem w naszą stronę, wrzeszcząc i wściekle wymachując skarbonką. Z każdym krokiem był coraz bliżej.

– Hej, kolego, zrób nam trochę miejsca – powiedziałem najuprzejmiej jak potrafiłem, gdy znalazł się jakieś pół metra przed nami.

Jego odpowiedź nie była równie uprzejma.

– Masz jakiś problem, koleś? Wolno mi tu stać tak samo jak tobie – odszczeknął, machnąwszy mi przed nosem laminowaną legitymacją.

Rzuciłem mu lekceważące spojrzenie, postanawiając jednak, że nie zrobię żadnego głupstwa.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że Bob wcisnął się w przestrzeń między moimi stopami. Wyglądał jak przyparty do ściany, był taki bezbronny, że zrobiło mi się go żal. Miałem właśnie wziąć kota na ręce, gdy intruz zatoczył się nagle i nastąpił buciorem na plecak, w którym siedział Bob.

– Łauuuu! – Kocur wydał przeciągły, wrzaskliwy pisk.

– Ej, stary, zabieraj girę. Nadepnałeś na mojego kota – warknąłem, opierając prawie czoło o twarz natręta i piorunując go wzrokiem.

Spojrzał w dół na Boba i uśmiechnął się szyderczo.

– Co ten cholerny bydlak w ogóle tutaj robi?

Miarka się przebrała, byłem wściekły. Odepchnąłem go z całej siły, a on nie zamierzał pozostać mi dłużny. Było trochę wyzwisk i krzyków, ale do niczego gorszego nie doszło, bo nagle jak spod ziemi wyrósł przed nami

policjant. Rozpoznałem go, ponieważ często patrolował tę okolicę.

– Ej, wy! Jakiś problem? – zainteresował.

Muszę przyznać, że był w porządku. Od razu zrozumiał, co jest grane. Poprosił faceta, żeby trzymał się swojej strefy, a ten, choć niechętnie, musiał posłuchać i zaraz się zmył. Jeszcze ze środka hali słał mi groźne spojrzenia, mało sympatyczna figura. Czułem, że na tym się nie skończy, podjąłem więc decyzję – to nie miejsce dla mnie i dla Boba. Trzeba było poszukać innego.

Postanowiłem pojechać do Covent Garden, gdzie mogłem dokupić jeszcze trochę gazet albo pograć godzinę lub dwie na chodniku. Nie było sensu wracać do domu. W najbliższych dniach pogoda miała ulec pogorszeniu, więc musiałem wykorzystać wszystkie swoje szanse.

Wsiadliśmy do metra, głównie dlatego, że było tam cieplej. Bob, jak zwykle, ściągał pełne zachwyty spojrzenia, choć nie mogło także zabraknąć drobnych docinków i złośliwości.

– Co pan wyrabia z tym biednym stworzeniem? – oburzyła się jakaś starsza paniusia.

– Wszystko z nim w porządku, proszę się nie martwić – odparłem, ale raczej jej nie udobruchałem, bo palnęła mi kazanie.

Przechodziłem przez to chyba z tysiąc razy. I zawsze przytaczałem te same argumenty. To Bob wybrał mnie,

nie ja jego. Mógł odejść w każdej chwili, sposobności miał wiele. Ale nie zrobił tego, bo uznał, że woli zostać ze mną. Tego dnia byłem jednak zbyt zmęczony, zmarznięty i pełen obaw, że moje Boże Narodzenie trafi szlag. Na najbliższej stacji po prostu wyskoczyłem z pociągu, po czym wsiadłem do następnego, gdzie na szczęście dało nam już spokój.

Nie chciałem podpaść koordynatorom „The Big Issue”, sprzedając tygodnik poza swoją strefą. Postanowiłem więc pogadać z Sam, koordynatorką z Covent Garden, by upewnić się, że wszystko będzie w porządku, jeśli posprzedaję w tym punkcie. Niestety nigdzie nie mogłem jej znaleźć, nie miałem zatem innego wyjścia niż wyciągnąć z futerału gitarę i trochę pomuzykować. Znalazłem dogodne miejsce u wylotu James Street, tuż za Piazzą, gdzie często grywałem.

Nigdy nie szło mi dobrze na mrozie. Chłód źle wpływał na gitarę, odkształcając gryf, trzeba więc było nieustannie dostrajać instrument. Czasem od zimna pękały struny. Lecz największym problemem były palce. Nosiłem czarne obcięte rękawiczki, które sprezentowała mi przy Angel jakaś stała klientka. Zauważyła, że bez przerwy rozcieram dłonie, pobiegła do najbliższego sklepu i wróciła z podarunkiem. Ale nawet on nie był w stanie uchronić moich palców przed działaniem mrozu. W zeknięciu z metalowymi strunami paluchy piekły jak cho-

lera. I dźwięk też nie brzmiał najlepiej. W grze nie czuło się entuzjazmu.

Na domiar złego ludzie zaledwie mnie słyszeli. Okolicę wypełniali uliczni artyści. To była istna kocia muzyka: grajkowie, klauni, nawet ludzie-pomniki zdzierali gardła, żeby przebić się przez zgiełk. Potrzebowałbym wzmacniacza, żeby zauważono moją obecność.

Trzeba się było wynosić. Ruszyłem w stronę Neal Street. Było tutaj znacznie mniej ludzi, ale istniała szansa, że mnie usłyszą.

Kiedy znów się zainstalowałem, sięgnąłem do kieszeni, żeby sprawdzić utarg. Kanał. Byłem w centrum prawie pięć godzin, a uzbierałem wszystkiego dziesięć funtów. Ogarnęło mnie przygnębienie.

Na Neal Street poszło nam trochę lepiej.

Panowała tu dziwna atmosfera. Kilka sklepów trzeszczało w szwach. Zwłaszcza w jednym, bardzo *trendy*, gdzie sprzedawano klasyczne parki w amerykańskim stylu, roilo się od małałatów, zapewne turystów. Dzieciaki nie spodziewały się tutaj takich mrozów i najwyraźniej chciały sprawić sobie modne zimowy ciuch. Na Monmouth Street przed drzwiami popularnego baru kawowego tłoczyła się długa kolejka. Ale wiele lokali było zamkniętych, a ulice miejscami wyludnione. Widok nieco surrealistyczny.

Rozłożyliśmy się przy sklepie z parkami. Kilku przechodniów przystanęło, żeby wymienić uprzejmości z Bo-



bem i zrobić mu zdjęcie. Cóż, obiektywy go kochały. Bardzo szybko zbierałem kilka monet, nie miałem jednak wątpliwości, że dzień będzie marny.

Na chwilę moje myśli zbczyły ku przeszłości, do dnia, kiedy jakiś gość dał mi od niechcienia dwieście funtów. To było jak grom z jasnego nieba. Facet nie wyglądał nawet na dzianego. Miał na sobie skórzaną kurtkę i dżinsy. Niedbałym ruchem wyjął pieniądze, wygładził je i wręczył mi z krótkim: „Bierz”. W pierwszej chwili myślałem, że dostałem dziesiątaka, dopiero potem odkryłem, że to dwieście funtów. Byłem w szoku. Nim się zorientowałem, facet zniknął w tłumie. Próbowałem zgadnąć, kim był. Muzykiem, aktorem? Do dziś nie wiem. Pewnie powinienem był go rozpoznać.

– To co, powtórka z dwustu funtów, Bob? – rzuciłem.  
Ech, marzenia, marzenia.

Na Neal Street zawsze wściekle wiało o tej porze roku, więc pod wieczór Bob miał już dosyć siedzenia na mrozie.

– Dobra, stary, czas się zwijać – oznajmiłem.

Właśnie się pakowaliśmy, gdy usłyszałem czyjś głos:

– Czekaaj, James! Poczekaaj!

W naszym kierunku biegła kobieta w średnim wieku o imieniu Jane. Od dawna nam pomagała, a teraz nie mogła złapać tchu.

– O Boże. Wszędzie się za wami rozglądałam i nic! Jak się cieszę, że was odnalazłam.

Z tymi słowami wręczyła mi ozdobną papierową torebkę. Długo nie rozumiałem, na co właściwie patrzę, gdy jednak zajrzałem do środka, zobaczyłem jaskrawo-czerwoną czapkę z dzwoneczkiem i kamizelkę tego samego koloru z białymi lamówkami.

– O rany! Santa Paws\* dla Boba! – wykrzyknąłem.

– Zobaczyłam to w sklepie któregoś dnia i nie mogłam się powstrzymać.

Kiedyś podobne ubranko zrobiła dla Boba Belle. Sama uszyła je na maszynie, ale już dawno gdzieś przepadło. To nowe było naprawdę ekstra. Jane musiała wydać na nie mnóstwo kasy.

Czułem się okropnie. Z jednej strony byłem wdzięczny, że ktoś zadał sobie trud, by sprawić mojemu kotu taki piękny prezent, z drugiej jednak zastanawiałem się, jak to pomoże mi ogrzać mieszkanie i nakarmić Boba w Boże Narodzenie.

Jane postąpiła jeszcze z nami, żeby pogawędzić. Na koniec dała mi świąteczną kartkę.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebował, daj znać – poprosiła. – Mój numer jest w środku.

---

\* Gra słów (ang.): Santa Claus – Święty Mikołaj, *paws* – zwierzęce łapki. Santa Paws to także imię bohatera popularnej serii książkowej, bohaterskiego psa, który ratuje ludzi z opresji.

Wstydzilem się powiedzieć, że moje konto nie było doładowywane już od dwóch tygodni. Na razie nie zanosiło się, że włączę w najbliższym czasie komórkę.

Gdy Jane pożegnała nas i zawróciła w stronę Covent Garden, otworzyłem kartkę. Ku swej wielkiej radości w środku zobaczyłem dziesięć funtów. Od razu pożałowałem, że byłem wcześniej takim niewdzięcznikiem. Miałem wielką ochotę ruszyć za nią do Covent Garden, poszukać jej i podziękować, wiedziałem jednak, że jest już daleko.

Skierowaliśmy się na Tottenham Court Road, przemierzając Seven Dials. Cóż, bez wątpienia nadchodziło Boże Narodzenie. Patrzyłem, jak całe rodziny szturmują bramę teatru na rogu, wiele z nich z dziećmi na rękach. Ten widok przeniósł mnie znów do przeszłości – w czasy mojego jedyne go świątecznego przedstawienia.

Na innym rogu chór szkolny śpiewał kolędy. Tłumek rodziców i kolegów dodawał odwagi dzieciakom zdzierającym gardła na trzaskającym mrozie. Od razu rozpoznałem tę pieśń. To był *Dobry król Wacław*.

Pokręciłem głową. Cóż za ironia. Słowa kolędy mówiły o zacnym starym władcy. Król, litując się nad niedolą nieboraka zbierającego drzewo na opał w srogą zimę, postanowił mu pomóc.

– Brzmi znajomo, nie sądzisz, Bob? – zapytałem, drapiąc pieszczotliwie kota za uszami i podejmując przewany marsz w stronę Tottenham Court Road.

W jakimś sensie słowa kolędy powinny były mnie pocieszyć. Nie ja pierwszy i pewnie nie ostatni walczyłem o przetrwanie w czas Bożego Narodzenia. Marna jednak była to pociecha.

W autobusie podliczyłem nasz zarobek. Razem z hojnym podarkiem *last minute* od Jane miałem w kieszeni nieco ponad dwadzieścia pięć funtów. To wystarczało na włączenie elektryczności i skromne zakupy w pobliskim sklepie – mleko, trochę chleba i tak dalej. Na gaz – i mój pierwszy ciepły prysznic od tygodnia – trzeba było jeszcze poczekać, może do jutra. Dotąd brałem zimne kąpiele, więc kolejna nie mogła mnie uśmiercić.

Wlokłem się do domu zmęczony, przygnębiony i trochę wystraszony tym, co mógł szykować dla nas następny tydzień. Sto pięćdziesiąt funtów nadal wydawało się dość odległą perspektywą. Bałem się, że w najbliższych dniach będę biegać tam i z powrotem do osiedlowego sklepu, żeby nabić kartę i dogrzać trochę mieszkanie, ilekroć zdobędę parę groszy.

Temperatura spadała każdego dnia i nie zanosiło się na poprawę. Wiatr ścinał nam kości na lód, Bob przytulił się mocniej do mojej szyi. Prawie cały łeppek ukrył w kołnierzu płaszczka.

– Wybacz, Bob, ale chyba będziesz musiał do tego przywyknąć. Znosi się na długie i zimne święta – po-

*Kot Bob i jego podarunek*

wiedziałem, gdy znaleźliśmy się znów w naszym wychłodzonym mieszkaniu.

Resztę wieczoru spędziliśmy razem na sofie, wtulając się w siebie i ogrzewając własnymi ciałami. Nie pod jednym, lecz pod dwoma kocami.

---

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.  
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c  
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,  
faks 22 643 70 28  
e-mail: [wnk@wnk.com.pl](mailto:wnk@wnk.com.pl)

Dział Handlowy  
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42  
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32  
e-mail: [sklep.wysylkowy@wnk.com.pl](mailto:sklep.wysylkowy@wnk.com.pl)  
[www.wnk.com.pl](http://www.wnk.com.pl)

---

*Książkę wydrukowano na papierze  
Creamy Hi Bulk 60 g/m<sup>2</sup> wol. 2,4.*

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*  
Opieka redakcyjna *Magdalena Korobkiewicz*  
Korekta *Ewa Mościcka*  
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek*

ISBN 978-83-10-12934-5

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2015 r.  
Wydanie pierwsze  
Druk: Zakład Graficzny COLONEL, Kraków